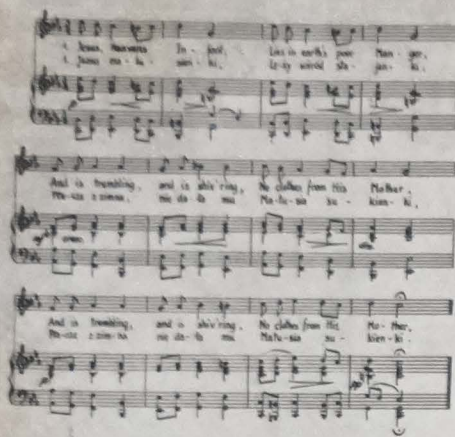
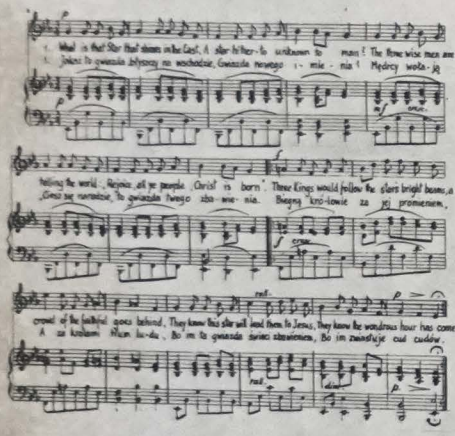




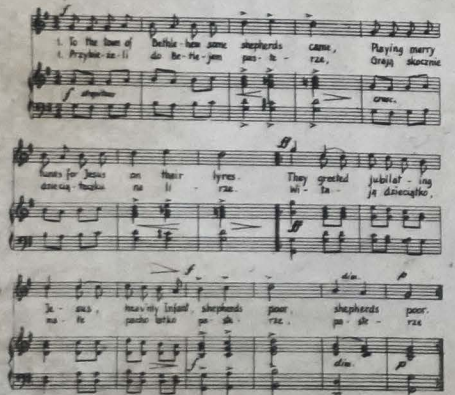
JEZUS MALUSIENKI



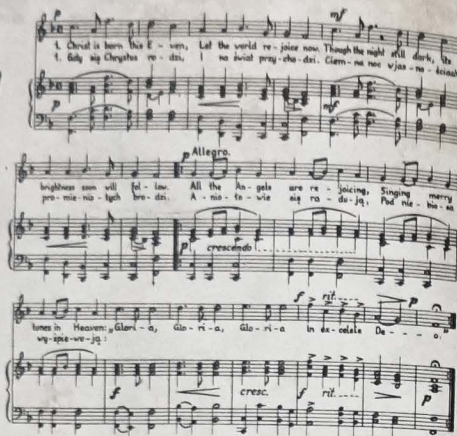
JAKĄŻ TO GWIAZDA



PRZYSZĘLI DO BETLEJEM



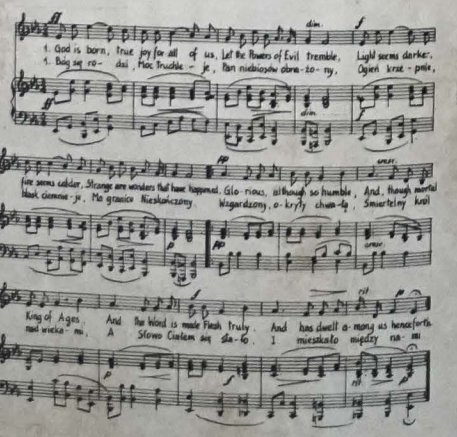
GDY SIE CHRYSZTU RODZI



WŚRÓD NOCNEJ CISZY



BÓG SIE RODZI



PARADA

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE
ROK I

FORTNIGHTLY REVIEW OF
THE POLISH ARMY IN THE EAST

NIEDZIELA, 26 GRUDNIA 1943

№ 19

CENA EGZEMPLARZA: w Egipcie 3 P.T., w Palestynie 35 mil., w Anglii 9 d.



Opuszczam Środkowy Wschód z uczuciem głębokiego zadowolenia. W trudnych warunkach, po tylu ciężkich przejściach lat ostatnich, dziesiątki tysięcy Polaków potrafiły stworzyć tutaj prawdziwy kawałek Polski. Armia polska na Wschodzie uradowała mnie swym wyszkoleniem, postawą i duchem patriotycznym. Nie wątpię ani na chwilę, że w walkach, które ją czekają, odkryje ona chwałę swe sztan-dary i wzbudzi podziw świata dla zalet polskiego żołnierza. Żołnier-dary i wzbudzi podziw świata dla zalet polskiego żołnierza. Wyszli z niej rze tej armii mają poza sobą drogę długą i ciernistą. Wyszli z niej zwyciężsko i w doskonałej formie. Dalsza droga, która ich czeka obec-nie, nie będzie łatwa. Jestem spokojny, że przejdą ją aż do zwy-cięskiego końca.

Nasza ludność cywilna na Środkowym Wschodzie zaimpono-wała mi swą postawą. Wszędzie, we wszystkich dziedzinach życia

polskiego w tych stronach świata, stwierdziłem prężność, wielką pracę, ofiarność i gorący patriotyzm. Kto, jak ja, widział ponadto tutaj młodzież polską, piękną ciałem i duszą, dzielną i tak bardzo naszą, ten musi ufać głęboko w przyszłość Narodu, który ma takie dzieci.

Wielka praca polska, duch niezłomny i głęboka wiara, jakie stwierdziłem tutaj, z pewnością nie pójdą na marne. Doprowadzą one nasze rzesze uchodźcze do celu, o którym marzymy wszyscy: do wielkiej, potężnej, szczęśliwej, prawdziwie niepodległej Polski.

Kair, 11 grudnia 1943 r.

Jen. Księża Józef...



Naczelnny Wódz Gen. Broni Kazimierz Sosnkowski i Dowódca A. P. W. Generał W. Anders



„PARADA” składa wszystkim swoim Czytelnikom najserdeczniejsze życzenia świąteczne.

Wierzymy, że nadchodzący Nowy Rok 1944 przyniesie zwycięstwo i triumf słusznej Sprawy polskiej.

NACZELNY WÓDZ GEN. BRONI KAZIMIERZ SOSNKOWSKI opuścił Środkowy Wschód

Ostatnie dni swego pobytu na Środkowym Wschodzie Naczelnny Wódz poświęcił licznym rozmowom z najwyższymi dowódcami brytyjskimi w Kairze. Odwiedził też junaków w szkole mechaniczno-lotniczej, którzy zgotowali mu serdeczne powitanie. W tym obozie dekorował również polskich lotników Krzyżem Zasługi z Mieczami. W czasie swego pobytu wśród oddziałów Armii Polskiej na Wschodzie Naczelnny Wódz nie opuścił żadnej okazji, aby zbliżyć się do żołnierza i nawiązać z nim osobisty kontakt. Nie żałował trudu i przez tych kilka tygodni zapoznał się z naszą armią, jej życiem codziennym, potrzebami i troskami. Wiemy zarówno z Jego ust jak i od osób Jego najbliższego otoczenia, że nie tylko zadowolony był z obiektywnej oceny, jaką powziął po dokonaniu inspekcji, ale że odczuł głęboko ową gorącą atmosferę żołnierskiego oddania, jaką otoczyć go umiała Armia Polska na Wschodzie. Naczelnny Wódz przyjął współpracownika „Parady” i udzielił mu oświadczenia, które drukujemy na 3 stronie.

Z PAMIĘTNIKA O.R.P. „SOKÓŁ”

Minęło pięć miesięcy nieustannych wysiłków. Życie nasze toczy się trybem jednostajnym. Krótki postój w porcie, wypełniony pracą na okręcie, a potem kilkanaście uciążliwych dni patrolu, gdzieś daleko pod brzegami nieprzyjacielskimi, powrót do bazy, odpoczynek i znowu je i dotychczas ani razu nie mieliśmy okazji do ataku. Nasza praca wydaje się nam jałowa i próżna. Zobojętniliśmy i jakieś zniechęcenie zaczyna nas ogarniać. Pamiętamy piękne sukcesy „Sokoła” dwa lata temu, gdy dumni byliśmy z naszych wysiłków i z ra-

dością wychodziliśmy na patrole. Tym razem rozpoczęliśmy drugą kampanię, pełni nadziei i wiary, że znów los nam poskąpi mocnych przeżyć i przygód, któreby wynagrodziły ciężką pracę w warunkach bardzo trudnych. Jednak tym razem szczęście odwróciło się od nas. Czas mijał bez sukcesów. Tylko świąteczna domość dobrze spełnionego obowiązku mimo braku widocznych wyników pracy dodawała nam siły do wytrwania i wiary w lepsze jutro. Zmuszamy się do uśmiechu i po raz piąty wychodzimy na patrol. Daleka przed nami droga wzdłuż brze-



gów. Widoki na jakąkolwiek akcję zmalały prawie do zera. Przyczyną już do niepowodzeń, śmiejemy się z braku szczęścia. Po pięciu dniach odchodzimy do naszego sektora i rozpoczynamy patrolowanie. Dnie spędzone pod wodą, a noce na powierzchni morza są tak jednakowe, że mimo woli traci się rachubę czasu. Na morzu pustka i tylko na horyzoncie zarys brzegów. Tak mijają trzy dni bez zdarzeń.

Czwartego dnia spostrzegamy dym na horyzoncie. Alarm bojowy! Nie możemy uwierzyć, że naprawdę atakujemy statek nieprzyjacielski. Po kilkunastu minutach rozpoznajemy statek pod niemiecką banderą. Zapominamy o poprzednich niepowodzeniach i skierowujemy cały wysiłek woli, ażeby teraz osiągnąć to, do czego dążyliśmy cały czas.

Atak jest trudny — jednak strzelamy dwie torpedy. Po kilkunastu sekundach następuje szalony wybuch, który wstrząsa nawet naszym okrętem. Twarze wszystkich rozjaśniają się zadowoleniem, rozumujemy, że nie na próżno idą nasze trudy. Przez kilka chwil widać, jak trafiony statek próbuje ostatkiem siły dobiec do pobliskiego brzegu. Jesteśmy gotowi strzelać jeszcze raz, jednak po paru minutach widać już tylko rułę statku, a w chwili później nie ma nawet najmniejszego śladu na morzu. Zatonął wraz z transportem żołnierzy niemieckich i ładunkiem amunicji.

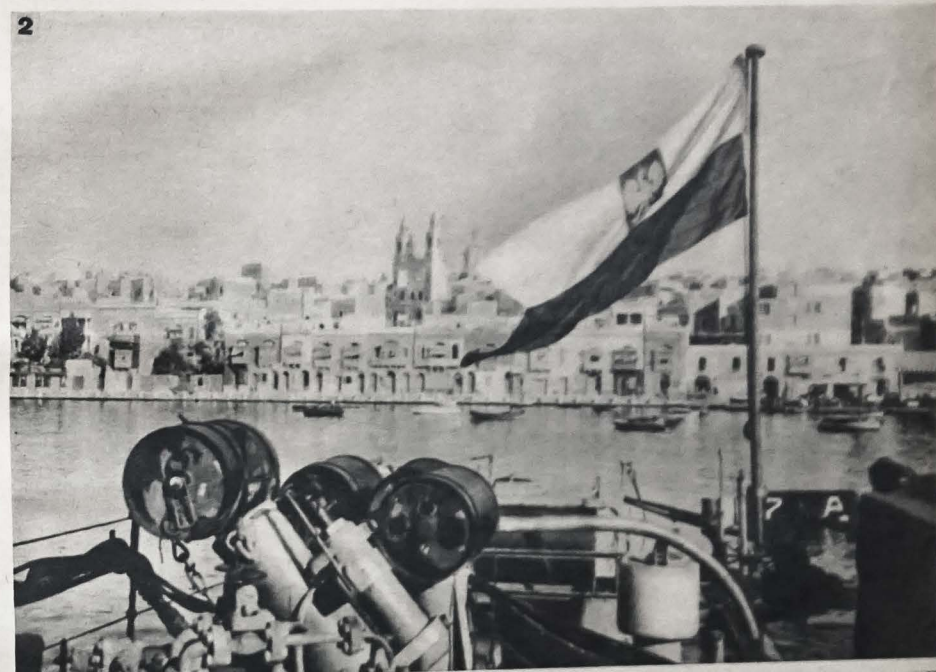
Jakże inny kolor przybiera życie teraz, gdy mamy dowód, że wysiłki nasze nie idą na marne. Widocznym jest, że wojna wypacza naturę ludzką i robi ludzi nie-normalnymi, ale sam fakt, że udało się utopić parę tysięcy ludzi, z którymi walczymy, daje olbrzymią satysfakcję i zadowolenie, mało tego: nadaje po prostu znaczenie i sens naszej pracy i trudom.

Następne dni mijają dużo szybciej. Czujemy się lepiej, pełni energii i siły. W trzy dni potem strzelamy znowu trzy torpedy i topimy drugi statek nieprzyjacielski. Dwie godziny później spotykamy jeszcze jeden statek, wypełniony wojskiem. Nie mamy już torped — ale to nie powstrzymuje nas od ataku. Wyrzucamy się i otwieramy ogień z dział. Uszkodzony naszymi pociskami zatrzymuje się, ale w tej chwili pojawia się samolot i zaczyna strzelać z baterii nadbrzeżnych. Zmuszeni jesteśmy zrezygnować z dalszej walki i zanurzyć się. Jest zbyt blisko brzegu, aby można ryzykować dalszy pościg.

Wracamy tą samą drogą z powrotem. Jakże inną wydaje się nam ona teraz, gdy los nagroził nasze starania. Wszystko to samo: morze, zarys dalekich brzegów i mnóstwo wysepek i gwiezdy, które nam wiernie towarzyszą w naszych podróżach. Jednakże my jesteśmy inni — jakby odrodzeni — pełni siły i energii do dalszych trudów w tej wojnie pod wodą.

Ryszard Fritz

- 1 W czasie krótkiego postoju w bazie
- 2 Polska bandera powiewa dumnie na tle jednego z portów na Morzu Śródziemnym
- 3 Nasi marynarze czytają z zainteresowaniem numer „Parady” z reportażem o ORP „Dzik” i ORP „Sokół”





Piękna sylwetka ratusza poznańskiego, arcydzieło sztuki renesansowej w Polsce, według rysunku angielskiego artysty Fred. A. Farrell'a

Poznań wśród barw angielskich

(Wspomnienia uczestnika Powstania Wielkopolskiego)

Z okazji 25-lecia Powstania Wielkopolskiego, które wyswobodziło Dzielnicę Piastowską z jarzma pruskiego, drukujemy poniżej wspomnienie świadka tych pamiętnych dni. Niejednego z naszych Czytelników zainteresuje niewątpliwie fakt — może mniej znany ogółowi, — że początek walk ulicznych w Poznaniu, dnia 27 grudnia 1918 roku, łączy się z obecnością, wówczas w stolicy Wielkopolski, misji oficerów angielskich.

Dzień 27 grudnia 1918 roku miał się stać datą historyczną dla Wielkopolski, a zwłaszcza jej stolicy — Poznania.

Byłem wówczas uczniem secundy, czyli siódmej klasy niemieckiego gimnazjum „Auguste Victoria” na Jeźcach. Cała Wielkopolska żyła w niezwykłym podnieceniu. Z zachodniego frontu, który zamykał się co dopiero pod obuchem uderzeń alianckich, prowadzonych przez marszałka Focha, wojsko niemieckie wracało do swoich garnizonów w kraju, zdemoralizowane.

W wyniku rewolucji listopadowej w Berlinie popadać zaczęła w rozkład również administracja Rzeszy. Odczuwało się to wśród Niemców, osiadłych w

Wielkopolsce, na Pomorzu i na Śląsku. Przy rozluźniającej się ogólnej dyscyplinie niemieckiego społeczeństwa polskie mogło nareszcie marzyć o wolności. W Warszawie udało się już rozbroić garnizon niemiecki. W Poznaniu, gdzie rządy niemieckie czuły się mimo wszystko silniejsze, wypadki szły trochę wolniej. Tym niemniej przechodził Poznań ferment rewolucyjny i społeczeństwo polskie żyło jakby na żarach węgla.

Nasze gimnazjalne związki tajne, które przez całą wojnę krzewiły ducha narodowego, rozumiały, że wybiła teraz dla nich godzina akcji. Co do mnie, który już od średnich klas gimnazjalnych brałem czynny udział w tych konspiracjach,

począłem teraz wspólnie z bratem uczęszczać na ukryte schadzki z grupą starszych kolegów, zbierających się wieczorami w pustej hali fabrycznej, należącej do ojca jednego z w tajemniczość. Były to początki mustry wojskowej, gdzie zapoznawaliśmy się z elementami broni palnej, przynoszonej tu pod osłoną ciemności z okradanego systematycznie magazynu wojskowego niemieckiego. Te nasze mustry trwały przez dobrych kilka tygodni zimowych i pod kierunkiem jakiegoś niewidocznego dla nas ręki zwierzchniej, przygotowały nas do czynu zbrojnego, do tego, co miało potem wejść do historii jako „Powstanie 27 grudnia”. Mnie nas na razie interesowało, co

tam „u góry” radzono w kołach politycznych. Dochodziły głuche wieści, że jeszcze w obiorze metody działania jedna dążyła do natychmiastowego uderzenia zbrojnego na zrewolucjonizowane oddziały wojska niemieckiego, stacjonującego w Wielkopolsce, druga — wyka-zywała większą ostrożność w wyka-ze potężnych na owe czasy sił zbrojnych, wobec tego zalecała działanie na dyplomatyczną w Paryżu, Londynie i WASHINGTONIE, uzyskała to samo, co trzeba było inaczej okupić większą ofiarą krwi.

Ale były to kłopoty „starszych”. Nasze gimnazjalne schadzki odbywały się dalej i żyliśmy w gorączce oczekiwania momentu akcji.

Wszystkie te przygotowania przerwane zostały któregoś poranka grudniowego doniosłą nowiną z Paryża. „Ignacy Paderewski” — tak brzmiała wieść — wyruszył na pokładzie krążownika brytyjskiego „Concord” z jednego z zachodnich portów i lądować będzie lada chwila w Gdańsku!”

Nowina głosiła dalej, że wielki orędownik sprawy polskiej na Zachodzie obrał drogę do Warszawy przez Poznań. Zatem stolica Wielkopolski miała być do-stępnie zaszczytu, że jako pierwsza z miast polskich powita w swoich murach znakomitego gościa. Paderewski wyobrażał sobie symbol solidarności Polski ze zwycięską koalicją w wojnie. Jeszcze większą aureolę dodawał mu fakt, że jako bliski przyjaciel prezydenta Wilsona przyczynił się w wielkiej mierze do postawienia wśród słynnych 14 punktów amerykańskiego programu pokojowego sprawy niepodległości Polski. Społeczeństwem zachodnim miało dlań dodatkowo jeszcze dług wdzięczności, ponieważ wśród postulatów, o które uparcie walczył Paderewski w stolicach alianckich, znajdował się dostęp Polski do Bałtyku, czyli wyswobodzenie ziemi pomorskiej od zabory pruskiego.

Więść o przyjeździe Paderewskiego przeszła przez stolicę Wielkopolski lotem błyskawicy. Jako że były to święta Bożego Narodzenia i redakcje pism nie funkcjonowały (a radio wówczas nie działało tak, jak dziś), na nas, zgrupowanych w tajne kółka gimnazjalne, spadła rola kurierów, pomagających w organizowaniu apelu do ludności Poznania, aby wzięła udział w wielkiej manifestacji powitalnej. Rzec była tym trudniejsza, że Niemcy, posiadając całe kolejnictwo, parokrotnie zmieniali marszrutę jazdy Paderewskiego z Gdańska do Poznania i starali się wprowadzić w błąd organizatorów przyjęcia.

Tymczasem cierpliwość i wytrwałość mieszkańców Poznania odniosła w drugie święto Bożego Narodzenia pełny triumf. Gdy wśród blasku pochodni, późnym wieczorem tego dnia, siewa głowa czcigodnego gościa ukazała się tłumom, czekającym od wielu godzin na dworcu, nie było końca wiać i manifestacji przerwali kordon strażnicy obywatelskiej, rzucając się ku powozowi, od którego w mgnieniu oka wyprężono konie.

Dopiero nazajutrz, gdy minęła pierwsza fala uniesienia, dotarła do szerokiego rzesz mieszkańców Poznania świadomość, że wśród świętych Paderewskiego, przybył tego — jak wiadomo było — pod osłoną sił Wielkiej Brytanii drogą morską do Polski, znajduje się kilku przedstawicieli armii brytyjskiej z pułkownikiem Wade na czele. Mundur oficerów koalicji, wobec snujących się wciąż jeszcze po ulicach Wielkopolski mundurów szarych zielonych Wehrmachtu, musiał działać elektryzująco. Wyobrażał on symbol zwycięstwa koalicji. Był heroldem wolności. Pobudzał wyobraźnię zamkniętego społeczeństwa Rzeszy społeczeństwa wielkopolskiego, które przez cztery długie lata wojny wypatrywało zwiastunów koalicji, jako zapowiedzi wyzwolenia z pod jarzma pruskiego.

Gdy więc w mroźny poranek dnia 27 grudnia zaczęły się na nowo zbierać tłumy poznańskie przed kwatrami gości w Bazarze, obok wiać i na cześć Paderewskiego padały także coraz rzędsze okrzyki „Niech żyje koalicja”, — „Niech żyje armia angielska” — i tłum powściągliwych skądinąd poznańców ogarnęła nowa fala entuzjazmu, gdy oficerowie brytyjscy ukazywali się w oknach. Wśród tłumów manifestantów znalazły się w mig flagi angielskie i manifestacja przybrała wkrótce charakter masowy, przenosząc się z placu przed Bazarzem na okolice ulice śródmieścia.

W atmosferze tej dojrzewał ostatni akt wyswobodzenia się Wielkopolski z jarzma zabory: akt zbrojny na ulicach Poznania.

Garnizon niemiecki, ułokowany na cieleci i rozsiadany w kilku punk-

tach miasta koszarach, nie docenił wielkości rozmiarów nagromadzonej energii narodowej polskiego Poznania, gdy tegoż samego dnia, po południu, wyruszył marszem z konti-demonstracją uliczną. Był to jakby lont na beczkę nagromadzonego prochu. Musiał doprowadzić do wybuchu. Nie było siły, która by zdołała powstrzymać wypadek.

Żołnierze niemieccy zaczęli prowokować. Na św. Marcinie, skąd droga prowadziła do siedziby znakomitych gości polskich i angielskich, doszło do pierwszych starć z ludnością, która spostrzegła, że Niemcy zaczynają rzywać flagi sojusznicze. Flag polskich Niemcy coby nie ruszyli, obawiając się widocznie reakcji polskiej. Sądził wszakże, że zbeszczeszczenie chorągwi Wielkiej Brytanii, Francji i Ameryki ujdzie im płazem. Lecz omylili się w swoich rachubach! Ludność miasta zareagowała na tę obrazę zaprzysiężonych mocarstw zachodnich, tak jak gdyby to była obraza narodu polskiego. Wiedzieli, że wymaga tego również kurtuazja dla przebywających w mieście gości angielskich, reprezentujących pierwszą wizytę armii alianckiej na ziemi polskiej.

I z nastaniem wieczoru owego 27 grudnia padły na ulicach Poznania pierwsze strzały. Pierwszą ofiarą po stronie polskiej był Franciszek Ratajczak, na którego cześć nazwano później ulicę, wychodzącą z pod komendy policji, gdzie właśnie doszło do pierwszego, zbrojnego starcia.

Widać było odrazu, że wypadki nie zastały nas nieprzygotowanych. Samorządna armia powstańców dała dowód znakomitej organizacji i skrupulatności wyszkolenia, a przede wszystkim świadczyła o wysokim poziomie ducha obywatelskiego. Powstanie Wielkopolskie 27 grudnia było pierwszym od czasów rozbrojów powstaniem narodowym, które zakończyło się pomyślnie.

Dzisiaj, po 25 latach, odżywiają te wznośne dni Poznania jako krzepiące wspomnienie. Tak jak manifestacyjne przyjęcie Paderewskiego na ziemi polskiej stało się hasłem do zrżenia kajdanów przez społeczeństwo najstarszej dzielnicy Rzeczypospolitej, tak zapewne znowu dzisiaj społeczeństwo polskie czeka na hasło z zewnątrz dla powstania przeciw zmiennawidzonemu zabocy.



1 Katedra
2 Plac Wolności



3 Uniwersytet
4 Kaplica Panny Marii

Godzi się zanotować jeszcze jeden — mało znany — szczegół z historycznej podróży Paderewskiego na krążowniku brytyjskim przez Bałtyk do Polski. Gdy okręt mijał Hel i jadący ujrzeli łuk zatoki gdańskiej, z wszystkich wiosek rybackich i przystani od Pucka aż po port helski podążyły ku krążownikowi łodzie z rybakami kaszubskimi, by oddać hołd orędownikowi sprawy dostępu morskiego Polski i eskortowały gościa aż na wody gdańskie.

Może i dziś, wśród ciemnych chmur nad polskim morzem, rybacy kaszubszy marzą o chwili, kiedy witać będą prującą Bałtyk jednostki floty polskiej, wiozące Polskę w darze — wolność. B. L.

CHOINKA KARPACKIEJ

Gdzieś na szosie, na ważnym punkcie węzłowym „autostopu” czekają żołnierze Karpackiej Dywizji. Przejedźdza kilka samochodów ze znakami „Zubra”, nie reagując na podnoszenie rąk. Jeden z czekających urywa pęk suchej trawy i nadstawia pod zbliżającego się „Zubra”. Samochód staje.

„Witaj — krzyczy kierowca — ale po co ten wiecheć?”

„Dla byka — odpowiada wesół — wiedziałem, że przy zarciu stanie!”

Popularna anegdota jest żółświatką rodzinną, jednym z licznych kawałów, którymi częstują się dywizje polskie. Bo Karpaczkom rewanzują się „bify” czyli żubry znaczącym stukaniem w głowę, że to niby mają... „świerka”.

Popularne są wszystkie znaki, jednak nie obraża się żubry, ani luy i śledzie z pestką złączone, gdy stwierdzimy szczególną popularność, również wśród wojsk brytyjskich, choinki Karpackiej.

Zielony na białoczerwonym tle świerka jest najstarszym znakiem formacji w Armii Polskiej na Wschodzie. Najpierw pojawił się na samochodach transportowych dywizyjnej, dla której został stworzony w czerwcu 1942 roku, gdzieś w Palestynie. Różne są dzisiaj wersje, kto był „wynalazcą” świerka, jako symbolu Karpackiej Dywizji. Według jednego projektu taki rzucił sam generał Kopanski, inni przypisują autorstwo st. sierżantowi L., jeszcze inni transportowce majora W.

Z samochodów świerk wyjechał na rękawy znacznie później, w początku roku 1943, w Iraku, jeszcze przed in-nyimi dywizjami. Dzisiaj reprezentuje na zewnątrz nie tylko Karpacką Dywizję, ale i tę tradycję. Jaką wnosiła do niej Brygada. Teraz w święta Bożego Narodzenia na znak Karpackiej Dywizji oglądany jeszcze inaczej, ze szczególnym wzruszeniem: to przecież choinka, ta sama choinka, bez której kiedyś nie było dla nas gwiazdki.

Na różnych m. p. pustynnych wyra-zały świerki Karpackiej, świerki... ma-łowane. Patrząc na nie dzisiaj, życzy-my sobie najżybszego nadejścia tej chwili, kiedy zasumują nam znowu świerki zielone, świerki prawdziwe na miejscu postoju — już w Polsce. (L)





POLSKI DZIEŃ W TENGERU

KORESPONDENCJA WŁASNA „PARADY”

W północnej Tanganyce, u kresu linii kolejowej, łączącej port morski Tanga z żywną okolicą Arusha, leży jedno z osiedli polskich uchodźców w Afryce Wschodniej, Tengeru.

Klimat podgórski, dzięki sąsiednim szczytom Meru (4000 metrów) i Kilimandjaro (6000 metrów), stwarza dogodne warunki dla białego człowieka. Górskie strumienie przez cały rok zaopatrują bogatą glebę w niezbędną wilgoć.

Trzy tysiące przebywających tu uchodźców polskich zorganizowało swoje życie dostosowując polskie zwyczaje do miejscowych warunków. Dzień pracy trwa niezależnie od pory roku — dwanaście godzin. O siódmej rano rozpoczyna się dzień w każdym polskim osiedlu. Po chłodnej nocy, nim słońce nagrzeje świeże, górskie powietrze, w kaplicy klęczą kobiety, okryte szalami, nieraz jeszcze przywiezionymi z Polski. O ósmej rano wszyscy śpieszą na pierwsze śniadanie, po którym przystępują do pracy lub nauki. Oprócz bowiem starców i inwalidów nie ma tu ludzi bezczynnie oczekujących powrotu do Kraju.

Z wyjątkiem brytyjskiego komendanta i kwatermistrza wszystkie stanowiska administracji osiedla obsadzone są przez Polaków. Gdy zatem przychodzi do obliczania racyj żywnościowych lub załatwiania bieżących spraw tysięcy uchodźców, na stołach w urzędzie pojawiają się liczne wzbudzające szczerą ciekawość gospodarzy. Warsztaty rzemieślnicze, w których znajduje zatrudnienie duży odsetek ludności tworzą najistotniejszy trzon całej organizacji życia osiedla. Tutaj polska pomysłowość znajduje pełne zastosowanie. W stolarniach polscy stolarze wyrabiają stoły i ławki — przedmioty codziennego użytku, niezbędne dla szkół i warsztatów. Drzewa jest tu sporo, głównym surowcem jest nieoceniony mahoni afrykański, do pracy twardy, lecz dzięki temu ostający się żarłoczności termitów. Wielkim powodzeniem cieszą się warsztaty przedziałnicze, na kołowrotkach, i tkalnie ręczne, w których odżyły wspomnienia wyrobów wileńskich, wołyńskich i karpacczych. Piękno polskiej sztuki ludowej jest doskonałą propagandą wśród Anglików. Skonstruowanie warsztatu tkac-



Każda chata posiada własny ogródek Polski obóz w Tengeru — główna brama
W pracowni stolarskiej Strzecha ze słoniowej trawy
Najmłodszy kolonista Tygodnikowe porządki
Przy pracy nad szewskim kopytem



kiego, wykonanego przez stolarzy polskich, napotkało na duże trudności z braku dostatecznej ilości drutu. Ku zdziwieniu Anglików przeszkodę tę pokonano, zastępując grzebienie metalowe grzebieniami z prętów bambusowych. Krycie dachów liśćmi bambusowymi wymaga również wysiłku ze strony ludności polskiej. Około siedmiuset domków, wybudowanych w pośpiechu przy pomocy robotników murzyńskich, nie przetrzymałoby okresu deszczów i niepogody, gdyby nie praca ludności nad poprawą prymitywnych budowli. Wykwalifikowani specjaliści naprawiają wszelkie uszkodzenia i okres deszczowy, który rozpoczyna się w grudniu, nie jest tak przykry, jak był jeszcze w roku ubiegłym. Mówiąc o specjalistach należy wspomnieć o szewcach, którzy pomimo braku narzędzi wnet po przybyciu wzięli się do pracy, by ratować rodakom nadwyrężone obuwie. Kopyta z zakrzywionego żelaza, noże z wyostrzonych pilników przez długie miesiące musiały zastępować rzemieślnikom ich narzędzia pracy. Skóry na buty garbuje się w osiedlach, a zamiast gwoździ używane są mahoniowe kliniki.

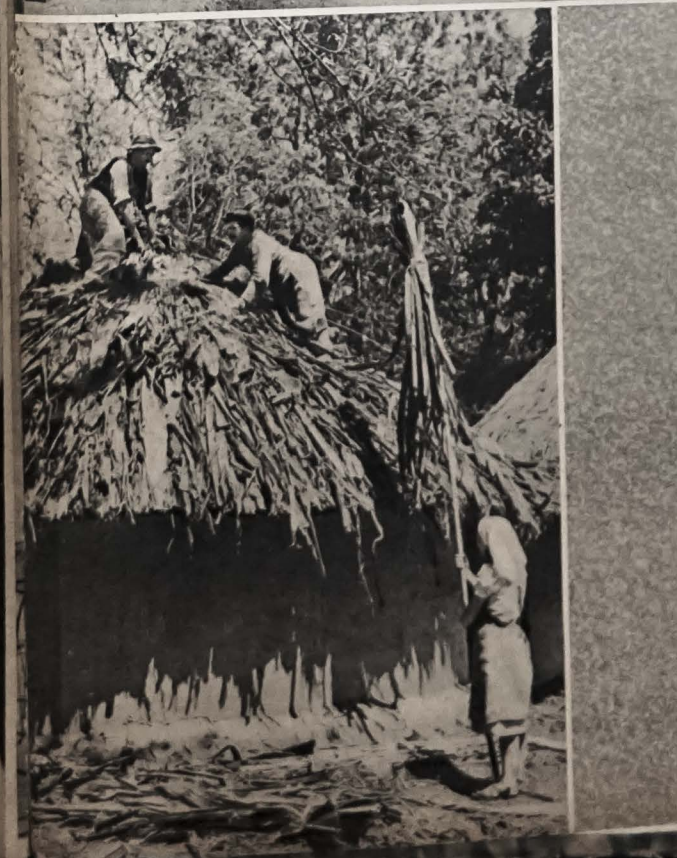
Praca trwa do południa. O godzinie dwunastej — obiad. Problem gotowania nie wszędzie został jednakowo rozwiązany. Przeważnie zorganizowano wspólne kuchnie, co wielu rodzinom zaoszczędza czas i zapobiega brakowi naczyń kuchennych. Niejedna rodzina woli jednak gotować dla siebie — często widać zatem przed domem rondelki na ogniu, ustawione na czterech cegielkach, a dookoła rozchodzą się smakiem woń bigosu lub barszczu.

Po obiedzie każdy poświęca się pracom domowym. Pranie odbywa się w specjalnych, odpowiednio wybudowanych, cementowych pralniach, acz przyjemniej jednak jest nieraz przeprać coś sobie pod cieniem własnej chałupki.

Wiele zamówień na wyroby hafciarskie płynie od Anglików. Hafty — to wcale niełatwe źródło dochodu dla niejednej zdolnej artystki.

Gdy zbliża się wieczór i słońce przestaje grać, nadchodzi czas na gry, sporty i zabawy. W Tengeru znajduje się piękne boisko i świetlica „Imki” oraz miejsce do zabaw dla dzieci, gdzie głośnik radiowy rozbrzmiewa wesołą muzyką. Przed zachodem, do wspólnej modlitwy kierują się hufce harcowskie w szyku marszowym. Harcerze, którzy posiadają pięknie wyszyte proporce, odbyli już nie jedną wyprawę w puszcze afrykańskie, bądź na szczyty górskie i wierzchołki wygasłych wulkanów. Po modlitwie, powiewający na maszcie sztandar polski zostaje opuszczony, dając znak, że skończył się dzień pracy. Jednakże nikt ze zgromadzonych nie rozchodzi się, wszyscy bowiem czekają na dziennik radiowy z Londynu. W skupieniu słuchają wieści ze świata, łącząc się w myślach z walczącymi o Polskę rodakami.

W. K.



ŚWIAT KARTY ATLANTYCKIEJ

Narody wolne i wolność miłujące przyjęły Kartę Atlantycką jako wyraz nadziei na lepsze Jutro świata. Życzymy Czytelnikom „Parady” i naszym Sprzymierzeńcom, by zwycięstwo w roku 1944 przyniosło jej pełną realizację.

KARTA ATLANTYCKA: I. Państwa podpisujące nie pragną zdobyć terytorialnych ani żadnych innych. II. Nie uznają żadnych praw wyboru takiej formy ustroju, w jakiej pragnie żyć. Pragną, aby prawa suwerenne i suwerenne rządy zostały przywrócone tym narodom, które siłą zostały ich pozbawione. III. Uznają, że każdy naród ma prawo do samostanowienia. IV. Będą usiłowały przy poszanowaniu swoich istniejących zobowiązań, by wszystkie narody świata, potrzebnych dla ich gospodarczego rozwoju. V. Pragną jak najszerzej współpracy między wszystkimi narodami. VI. Po ostatecznym pokonaniu tyranii hitlerowskiej należy stworzyć pokój, który zapewni wszystkim narodom bezpieczne życie i niedostatku. VII. Taki pokój powinien dać wszystkim ludziom możliwość przemierzania bez przeszkód mórz i oceanów. VIII. Podpisujący wierzą, że wszystkie narody świata zarówno z powodów materialnych jak i duchowych muszą zaniechać używania siły. Ponieważ przyszły pokój nie może być utrzymany, jeżeli narody, które grożą lub mogą zagrażać agresją poza obrębem swych granic, nadal będą się zbroić na lądzie, na morzu i w powietrzu — podpisujący uważają, że do chwili stworzenia szerszego i stałego systemu ogólnego bezpieczeństwa, rozbrojenie tychże narodów napastniczych jest sprawą zasadniczą. Strony podpisujące będą również starać się wszelkimi możliwymi sposobami pomóc

The Atlantic Charter expresses the hope of free and freedom loving nations for a better world of tomorrow. „Parada” wishes its Polish readers and all our Allies that Victory in 1944 may speed its full realisation.

torialnych zmian, które nie są zgodne ze swobodnie wyrażoną wolą zainteresowanych narodów. III. Uznają, że każdy naród ma prawo do samostanowienia. IV. Będą usiłowały przy poszanowaniu swoich istniejących zobowiązań, by wszystkie narody świata, potrzebnych dla ich gospodarczego rozwoju. V. Pragną jak najszerzej współpracy między wszystkimi narodami. VI. Po ostatecznym pokonaniu tyranii hitlerowskiej należy stworzyć pokój, który zapewni wszystkim narodom bezpieczne życie i niedostatku. VII. Taki pokój powinien dać wszystkim ludziom możliwość przemierzania bez przeszkód mórz i oceanów. VIII. Podpisujący wierzą, że wszystkie narody świata zarówno z powodów materialnych jak i duchowych muszą zaniechać używania siły. Ponieważ przyszły pokój nie może być utrzymany, jeżeli narody, które grożą lub mogą zagrażać agresją poza obrębem swych granic, nadal będą się zbroić na lądzie, na morzu i w powietrzu — podpisujący uważają, że do chwili stworzenia szerszego i stałego systemu ogólnego bezpieczeństwa, rozbrojenie tychże narodów napastniczych jest sprawą zasadniczą. Strony podpisujące będą również starać się wszelkimi możliwymi sposobami pomóc

Franklin D. Roosevelt Winston Churchill 1941



Aluminium	Citrus Fruits	Corn	Iron	Petroleum	Rubber	Sugar	Tobacco
Apples	Coal	Cotton	Lead	Pigs	Sheep	Tea	Vegetable Oils
Butter & Cheese	Coffee	Flax	Maize	Precious Stones	Silk	Timber & Pulp	Wine
Cattle & Beef	Copper	Gold	Manganese	Rice	Silver	Tin	Zinc

HISTORIA

ANGLII

Mur Hadriana. Jednym z licznych pomników okupacji Anglii przez Rzym jest Mur Hadriana wybudowany w r. 126. Mur ten miał chronić rozciągające się prowincje południowe przed najazdami dzikich plemion północy.

Blisko pięćsetletnie władanie Rzymu na wyspach brytyjskich wyryło głębokie piętno na umysłowości angielskiej.



Najazd krzyżacki. Na początku V wieku legiony rzymskie wycofały się. Plemiona celtyckie najeżdżały z północy miasta założone przez Rzymian, z morza przybyli Anglosasi i Saksowie. Wyspa na przeciąg kilku wieków pograżyła się w bezładzie i barbarzyństwie.



Wpływ Wikingów. W końcu VIII wieku skandynawskie plemiona Duńczyków i Norwegów poczęły się wdzierać w głąb wyspy, płynąc w szybkich łodziach wzdłuż rzek.

Szczytem sukcesu Duńczyków było panowanie wnuka Mieszka I, Kanuta duńskiego, który potoczył pod swym berłem Anglię, Południową Szkocję, Danię i Norwegię.



Wilhelm Zdobywca. Ostatniego historycznego najazdu na Anglię dokonał Wilhelm, książę normandzki, zwany Zdobywcą. Rządził on 21 lat od bitwy pod Hastings 1066 i ugruntował system feudalny.



Władza normandzka. Wilhelm Zdobywca porządkował ziemie baronom normandzkim, którzy zbudowali warowne zamki. Nad Tamizą w Londynie Wilhelm wybudował dla siebie słynną twierdzę Tower.



Ryszard Lwie Serce. Najstojniejszym Krzyżowcem Anglii był jej król Ryszard Lwie Serce, jeden z wodzów trzeciej wyprawy krzyżowej. Po nieudanym ataku na Jerozolimę zawarł on z sultanem Saladynem pakt, mocą którego pielgrzymi chrześcijańscy mogli zwiedzać święte miejsca. Całe jego życie było jedną wielką przygodą wojenną. Zginął we Francji w roku 1199, trafiony zatrutą strzałą.

W roku 1215 brat Ryszarda Lwie Serce, Jan zmuszony został do położenia pieczęci na Wielkiej Karcie Swobód Obywatelskich przedłożonej mu przez baronów.

Karta ta stała się podstawą rozwoju ustroju parlamentarnego nie tylko Anglii, ale i całego świata.

Wojna Stuletnia. Wojna stuletnia o posiadłości angielskie na terenie Francji zakończona ostatecznym wycofaniem się Anglików z kontynentu w r. 1453, składała się z pojedynczych wypraw i oblężeń. Zwykle, zaledwie kilkuset rycerzy brało udział w poszczególnych wyprawach. Jednym ze słynniejszych epizodów tej wojny było zdobycie Calais przez Edwarda III, który przyrzekł nie wydawać tego miasta na tęp pod warunkiem, że sześciu obywateli, którzy przyniosą klucze, zgłoszą się z powroźami na szyi do obozu, gdzie zostaną powieszani. Philippa, żona Edwarda, wytrwała w przekonaniu tych obywateli.

Odkrycie Ameryki. Odkrycie Ameryki przez Kolumba 1492 roku skierowało zainteresowanie Europy na szeroki świat. O rozwoju żeglarstwa od tego czasu może świadczyć porównanie statku Kolumba 100-tonowej „Santa Maria” z 80.000-tonowym transatlantykiem angielskim „Queen Elisabeth”.

Prasa drukarska. Przejście ze średniowiecza do czasów nowożytnych zaznacza się nie tylko odkryciem Ameryki, ale i wynalazkiem prasy drukarskiej Gutenberga. Pierwszą prasę w Anglii założył w Opactwie Westminsterskim William Caxton w r. 1476.

Henryk VIII (1509-47). Założył pod nowocześnie potęgę Anglii, mądrze stosując politykę równowagi sił i popierając rozbudowę floty. Wyowiedzenie postulatów Papieżowi przesądziło sprawę religijną w Anglii, która stała się protestancką. Popularnie znany jako mąż sześciu żon, z których z dwiema rozwiódł się, a dwie zabił.

NAPAD HENRYKA VIII



ANGLIA I POLSKA

Elżbieta. Córka Henryka VIII i nieślubnej Anny Boleyn, panowała od roku 1558—1603, uważana za jedną z największych władczyni Anglii. W czasie jej rządów Anglia stała się wielką potęgą europejską.

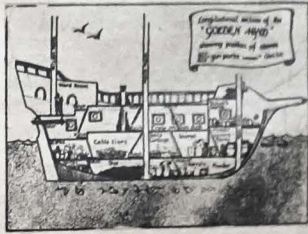
Flota hiszpańskiej armady. Filip, król Hiszpanii, niepokojony najazdami angielskich piratów, popieranych przez Elżbietę, która ciągnęła z tych wypraw zyski, wysłał potężną armadę ku brzegom Anglii. Flota ta została jednak całkowicie rozbita przez mniejszą, lecz znacznie sprawniejszą flotę angielską. W bitwie tej brał udział okręt jednego z najwybitniejszych piratów i żeglarzy świata, Franciszka Drake — „Golden Hind”.

William Szekspir i teatr Globe. Epoka elżbietańska wydała największego dramata-pisarza świata Williama Szekspira, którego sztuki po raz pierwszy wystawiane w teatrze Globe w Londynie, do dzisiaj ukazują się na wszystkich scenach krajów cywilizowanych.

Pierwsze kolonie amerykańskie. W roku 1620 grupa protestantów angielskich na statku „Mayflower” wyruszyła z Southampton, by dotrzeć do Virginii w Ameryce. Wichry zapędziły ich na północ, gdzie założyli osadę, którą nazwali New Plymouth. Tak powstała kolonia Nowa Anglia, która z czasem stała się Stanami Zjednoczonymi Ameryki.

W Indiach Anglia również poczęła zyskiwać wpływy. Założona przez kilku kupców w Londynie Kompania Wschodnich Indii poczęła organizować faktorie. Jedną z pierwszych był Fort St. George w Madrasie.

„Człowiek by Ołiwera Cromwella”. Przed parlamentem w Londynie jest posąg Ołiwera Cromwella. Trzyma on w jednej ręce szpadę, którą walczył o prawa parlamentu z królem Karolem, — w drugiej Biblię, której zasady nie tylko wyznawał, ale starał się wprowadzić w życie. Jego słynna purytańska arieta, która pobita królewską wojenną, zwana była pogardliwie przez przeciwników „okrągłe tły” — po śmierci strzygła sobie krótko włosy.



Parlament w Anglii. W Anglii król nie może się wycofać z parlamentu. Po wielkich niepokojach w Anglii, między protestantami i katolikami, które o mało nie doprowadziły do wojny domowej, w r. 1688 wstąpił na tron Wilhelm Orański, przedtem jednak podpisał dokument zwany „Bilem praw”, który kontrolę całości władzy dawał parlamentowi.

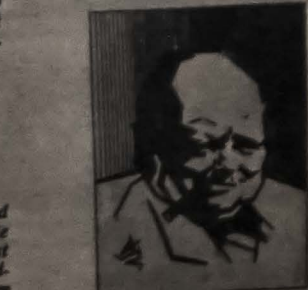
John Churchill, Książe Malborough. John Churchill, Książe Malborough, prapradziad dzisiejszego premiera Anglii, przeciwstawił się dążeniom opanowania Europy przez Ludwika XIV. W bitwie pod Blenheim pokonane zostały wojska Francji i zapewniona równowaga sił w Europie na blisko 100 lat.

Stworzenie Stanów Zjednoczonych. W 1775 r. 13 kolonii brytyjskich wypowiedziało posłuszeństwo Koronie Angielskiej, a w rok później ogłosiło Deklarację Niepodległości. Pokojem w Wersalu w roku 1783 Anglia uznała niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Bitwa pod Trafalgarem. Wspaniałe zwycięstwo Lorda Nelsona nad flotą francuską pod Trafalgarem w r. 1805 przekreśliło plany Napoleona panowania nad światem. Zmontowana następnie przez Anglików koalicja zadawała ostateczny cios Napoleonowi pod Waterloo w 1812 roku.

Królowa Wiktoria. W czasie długotrwałego panowania wielkiej królowej Wiktorii (od 1837—1901) Anglia stała się tym, czym jest dzisiaj — Brytyjską Wspólnotą Narodów.

Premier Stanów Zjednoczonych. Lord Admiralicji w pierwszej wojnie światowej, dzisiejszy premier jest uosobieniem walki o wolność jednostki i naroda — istoty dzisiejszej Wielkiej Brytanii.





Apostoł pustyni



3

W Afryce Północnej, w Algierze, Maroku i Tunisie, tworzy się nowa Francja. Jak wszystko wielkie w historii, rodzi się w trudzie i mecie, wśród wielu błędów i pomyłek, które jednak nie zmniejszają wielkości odbywającego się procesu. Rodzi się na ziemiach tej Afryki Północnej, która w ciągu ostatnich stu lat okryła chwałą tylu francuskich bohaterów, na której zdobywali swe szlify ludzie tacy, jak Lautey, Mangin, Gouraud, Laperrière i wielu innych. Nie o nich jednak opowiemy dzisiaj, lecz o innym wielkim Francuzie, który ziemię tę podbił nie orężem, a sercem i rozumem, który pomimo iż przebywał na nich w przebraniu tubylczego Żyda, a później — w ubogim stroju mnicha-pustelnika, potrafił zdobyć sobie nie tylko chwałę nieśmiertelną, ale i świętość.

Charles de Foucauld urodził się w r. 1858, w Strassburgu, na alzackiej ziemi kresowej. Był dzieckiem rodziny świetnej, historia Francji wspomina o niej już od lat tysiąca. Była to zarazem rodzina głę-

boko katolicka i to pętno pobożności wywrzeć miało później decydujący wpływ na życie naszego bohatera.

Charles de Foucauld traci rodziców już we wczesnym dzieciństwie. Wraz z siostrzyczką Marią dostaje się pod opiekę 70-letniego dziadka matczynego, pułkownika de Morlet. W towarzystwie tego surowego żołnierza, w Nancy, w Lotaryngii wychowuje się przyszły apostoł pustyni. Początkowo nic nie zapowiada tych wspaniałych zalet ducha i umysłu, którymi zabłysnąć miał później. Jest trudny, gwałtowny, krnąbrny. Uczy się zaledwie średnio. Od najmłodszych lat zdradza niepokojące skłonności do luksusu i użycia. Jedyną jego zaletą jest bezgraniczna żądza wiedzy i pasja czytania. Opuścił gimnazjum, zdecydowany zerpać z życia rozkosz pełnymi garściami. Wszystkie drogi stoją przed nim otworem. Ale Charles de Foucauld łaknie łatwego życia. Wstępuje więc do wojskowej szkoły St. Cyr, albowiem waskowa „Ecole Polytechnique”... wymagała

zbyt wiele pracy. Uczy się tam znowu bardzo miernie. Bawi się za to i hula. Taki sam tryb życia prowadzi później, w wojskowej szkole kawalerii w Saumur. Gdy po ukończeniu studiów zaczyna służbę w Pont-a-Mousson, trwa ona zadziwiająco krótko. Przydzielony do Setif w Algierze, de Foucauld sprowadza do małego miasteczka garnizonowego jedną ze swych przyjaciółek paryskich i zamieszkuje wraz z nią. W „towarzystwie” miejscowym robi się skandal. Ten młody arystokrata zbyt zuchwale rzuca wyzwania powszechnie przyjętym zasadom moralności... Pułkownik, dowódca garnizonu wzywa go i stawia ultimatum: albo rozstanie się ze swą przyjaciółką i odejdzie ją do Paryża, albo musi opuścić armię. De Foucauld wybiera to drugie. Opuścił Algier, pułk, kolegów, łamie swą karierę i powraca do Francji.

Jednak nie pozostaje w niej długo. Powoli następują w nim głębokie przemiany. Hulaścze życie coraz bardziej go nudzi i odpycha. Szuka gorątkowo sen-

su egzystencji, treści, celu. Odzywa się w nim ponadto i z coraz większą siłą przemożny zew pustyni, jej samotności i ciszy, gwiazdzistych nocy i bezkresnego zapada na chorobę, która pragnie zawsze stać się nieodłączną towarzyszką tych, którzy dobrze poznali pustynię i potem z nią się rozstali: na „mal du desert”.

W roku 1884 w południowej części prowincji Oran wybuchła rewolta Bu-Amamy. Cztery pułki strzelców konnych, w których służył de Foucauld, wychodzi w teren walki. Bohater nasz nie może zostać bezczynny. Zmiany, jakie w nim zaszły, są już zbyt głębokie. Zew pustyni jest zbyt potężny. Otrzymuje pozwolenie na powrót do pułku, bije się wspaniale, uzyskuje najwyższe pochwały zwierzchników. Odął zaślubiny jego z Afryką i pustynią stają się już nierozdzielne. Miłość do tych tajemniczych wówczas i prawie niezbadanych jeszcze ziem i ludzi, później zaś — żądza poświęcenia i ofiary, opanowują go żywiołowo i gaszą w nim wszystko inne. Umiera de Foucauld — żołnierz i utracus. Rodzi się nowy de Foucauld — najprzód wielki odkrywca i uczonec, później — święty pustelnik i apostoł pustyni.

De Foucauld ma 24 lata. Jest znowu w swej ukochanej Afryce. Zastanawia się, co czynić dalej. Rozumie coraz lepiej, że armia nie jest odpowiednim dla niego warsztatem pracy. Oczywiście, tym razem nie chodzi mu już o kobiety i karty. Chce badać, studiować, jeździć, odkrywać nieznane ziemie, a w armii trzeba wykonywać rozkazy... Rewolta w Oranie jest już zgaszona, w francuskiej Afryce Północnej panuje spokój. De Foucauld podaje się więc znowu do dymisji, tym razem już ostatecznie, i osiada w Algierze, gdzie odrazu rzuca się w wir studiów. Czyta, robi notatki, studiuje właściwości kraju, który tak ukochał, uczy się dialektów jego szczepów. Poznał tam człowieka, który wielki wpływ wywrzeć miał na jego dalsze losy: Oskara Mac Carthy, konserwatora biblioteki algierskiej i jednego z najlepszych znawców ówczesnych Afryki Północnej. Ten dziwak, oryginalny, o niezwykłej wiedzy, marzy bezustannie o wielkich podróżach odkrywczych. Marzy tylko, gdyż wątłe zdrowie nie pozwala mu nigdy na realizowanie zarówno śmiałych planów. Obiektem jego najżywszych zainteresowań jest Marokko, kraj wówczas prawie całkowicie nieznany, groźny i tajemniczy niedostępny dla chrześcijan. Było wprawdzie kilku „niewiernych”, którym z narażeniem życia udało się przeniknąć w jego granice i zapuścić się poza dozwoloną dla chrześcijan „drogę ambasady”, wiedząc z wyprzedzeniem, że Marokko. Albo jednak przypłacili tę śmiałość życiem, albo, w najlepszym razie, wydostawali się stamtąd żywi, lecz bez żadnych niemal rezultatów naukowych.

Oskara Mac Carthy negi ta ziemia nieznana, a zwłaszcza jej część najbliższa i najmniej dostępna: Rif. Ten sam Rif, który w r. 1926 wstąpił się miał rewoltą Abd El Krima. De Foucauld rozumie pasję swego nowego przyjaciela, podziela ją wkrótce i zabiera się do roboty. On pragnie i może zrealizować te plany, zbada Marokko i, jeśli Bóg pozwoli, utworze tam drogę Francji i kulturze chrześcijańskiej. Tylko — jak tego dokonać? W swej zwykłej postaci, jako de Foucauld, nie przeszedłby w tym kraju nawet 10 kilometrów. Długo trwały narady dwóch przyjaciół. Wreszcie plan jest gotów. De Foucauld odbędzie podróż do Marokka w przebraniu tamtejszego Żyda i w towarzystwie autentycznego izraelity marokańskiego.

Nie łatwo nam dziś wyobrazić sobie, jakimi trudnościami najeżone było wówczas zmontowanie podobnego przedsięwzięcia. Trzeba było przyswoić sobie język i obyczaje Żydów marokańskich, całkiem odmienne, niż u ich europejskich współwyznawców. Trzeba było znaleźć odpowiedniego towarzysza podróży. Niezbędne były wreszcie — chytrość i przebiegłość lisa, aby w ciągu długiej wędrówki po wrogim kraju nie dać nigdy poznać po sobie, kim jest się naprawdę. Tego wszystkiego dokonał de Foucauld: przyswoił sobie dialekt Żydów marokańskich i poznał ich zwyczaje. Mac Carthy znalazł mu towarzysza w osobie reb Mordochaja z Aqqa w południowym Marokku. 10 czerwca 1883 roku rozpoczyna się epopeja marokańska de Foucauld'a.

O wprawdzie tej, która trwała okragły rok, można napisać całe tomy. Była pełna przygód z Tysiącą i jednej Nocy i najeżona niebezpieczeństwami; w czasie których dzielny podróżnik był o włos od śmierci. Trzeba było doprawdy nadludzkiej niemal wytrwałości, odwagi i sprytu, aby doprowadzić do szczęśliwego końca to szaleńcze przedsięwzięcie. De Foucauld odniósł sukces zupełny. Przewędrował pieszo większą część Ma-

rokka. Zwidził wszystkie większe miasta. Poznał dokładnie jego plemiona, ich język i zwyczaje. Zbadał faunę, florę, układ topograficzny i rzeczny kraju. Przywiózł z sobą stosy notatek, map, wykresów, rysunków, tak udostępniających ten nieznany dotychczas kraj, że wszystkie poprzednie próby w tym kierunku wydawać się musiały, w porównaniu z jego osiągnięciami, dziecinną zabawką. On pierwszy dał dokładny opis gór Marokka, rzek, dróg i mieszkańców.

De Foucauld jest znowu w Paryżu. Jest sławny, rozrywany, modny, otoczony najwybitniejszymi osobistościami wielkiego świata. To wszystko jest mu już teraz obojętne. W duszy jego dokonują się przeobrażenia potężne i niezwykłe. Potrzeba ciszy i samotności, pustyni i gwiazdzistego nieba, łączą się w nim obecnie z nowymi coraz silniej odzywającymi się głosami duszy. Potężnie w nim wiara, krystalizuje się powołanie. Rośnie potrzeba wielkiej pokory, służenia ludziom i niesienia ukochanym krajom Afryki Północnej nauki chrześcijańskiej. De Foucauld postanawia wyrzec się dóbr doczesnych i w ubóstwie i skrajnej abnegacji nieść pociechę bliźnim. Trudno stwierdzić, jaki był związek przyczynowy tej decyzji z żywiołowym ukojeniem saharijskiego błędu. Ktoś przecież powiedział kiedyś, że najbliższym Nieba czuje się człowiek nocą na pustyni.

Jesienią 1888 roku Charles de Foucauld zrywa wszystkie węzły, łączące go ze światem, z rodziną i dobra doczesnymi. Przywdziewa ubogie szaty pielgrzymie i rozpoczyna drugą część swego życia, tę część, która otoczyć miała głowę jego aureolą świętości, bohaterstwa i wreszcie — męczeńskiej śmierci. Kilka lat spędza między klasztorami różnych zakonów we Francji i Ziemi Świętej.

Po krótkim pobycie w Rzymie wraca do Francji i tam, w 1901 roku, w klasztorze Notre-Dame des Neiges otrzymuje święcenia kapłańskie. I wtedy wreszcie może zrealizować najgłębszy cel i sens swego życia: nieść otuchę, pomoc i miłosierdzie chrześcijańskie plemionom północno-afrykańskim, tym dzieciom pustyni, które tak ukochał. Prosi, by zezwolono mu osiedlić się w oazie algierskiej Beni-Abbes, w okolicy, która nigdy jeszcze nie widziała katolickiego księdza. Trudności są wielkie, gdyż kraj ten nie jest jeszcze na dobre spacyfikowany. Brat Karol pokonuje jednak wszystkie przeszkody i otrzymuje zezwolenie. Własnymi środkami i własnymi siłami buduje ambulatorium, szkołę i komórkę z ziemniakami, w której spać będzie na przyciu i miedzi. Całą duszą, bez reszty, poświęca się pracy nad polepszeniem bytu mieszkańców oazy i uszlachetnieniem ich pierwotnych dusz. Karmi ich, oświeca, lecz, staje się ich najserdeczniejszym, najbardziej oddanym przyjacielem i opiekunem. Ludność miejscowa, początkowo nieufna, garnie się doń coraz serdeczniej. Sława brata Karola, dobrego „białego marabuta”, rozchodzi się po coraz rozleglejszych okolicach kraju. Ubiegają się tubylcy o dotyk jego dłoni, o spojrzenie jego oczu, o jedno serdeczne słowo. A on, nauczywszy się dialektów miejscowych, poznawszy do głębi mieszkańców tych pustynnych ziem, stał się dla tych biednych, prymitywnych ludzi prawdziwym ojcem duchowym. Wyciągał ku nim swe błogosławieństwo i otaczał gorącym swego miłującego serca. Zbiegali się ludzie z dalekich, nawpół dzikich oaz. Przychodzili o pomoc i radę. Przynosili mu dzieci, które chrzcił. Czarni niewolnicy zwracali się o wykup, którego dokonywał za wybrane pieniądze.

Bezmiar i cisza pustyni, wśród których najlepiej gwarzy się z Bogiem, wdały coraz potężniej jego duszę. Nie dają mu oprzeć się pokusie, by iść coraz dalej na południe, w strony coraz dziksze i coraz mniej zbadane i nieś tam słowa Ewangelii tubylczym szczepom. Cały prawie rok 1904 spędza wraz z przyjacielem swym, majorem i później generałem Laperrière, jednym z najświetniejszych francuskich Afrykańczyków w wyprawie eksploracyjnej w głąb Hoggaru, tej najmniej znanej, południowej części Algierii. Trzy wielkie szczepy zamieszkujących te ziemie Tauregów, Ifora, mieszkających tam Tauregów, poddały się władzy francuskiej. Laperrière i de Foucauld jadą je odwiedzić i poznać. Znowu spod świeżo spacyfikowany kraj. I znowu spod pióra de Foucauld wychodzą bezcenne kartki, zawierające naukowy opis nieznanych dotychczas ziem i ludzi.

Hoggar wywiera na bracie de Foucauld potężne wrażenie. Odnajduje tutaj pustynię w jej najdoskonalszej postaci. Wśród piasków i skał czuje się tu najbliższym Boga. Brat Karol przenosi tedy swą pustelnię do jednego z głównych ośrodków tego kraju, do Tamanrasset. Buduje tam nową misję. Chce podzielić swą pracę między Hoggar i Beni-Abbes, w którym jednak nie zamierza rozstać się, z którym jednak nie zamierza rozstać się.

W Tamanrasset kontynuuje swe święte



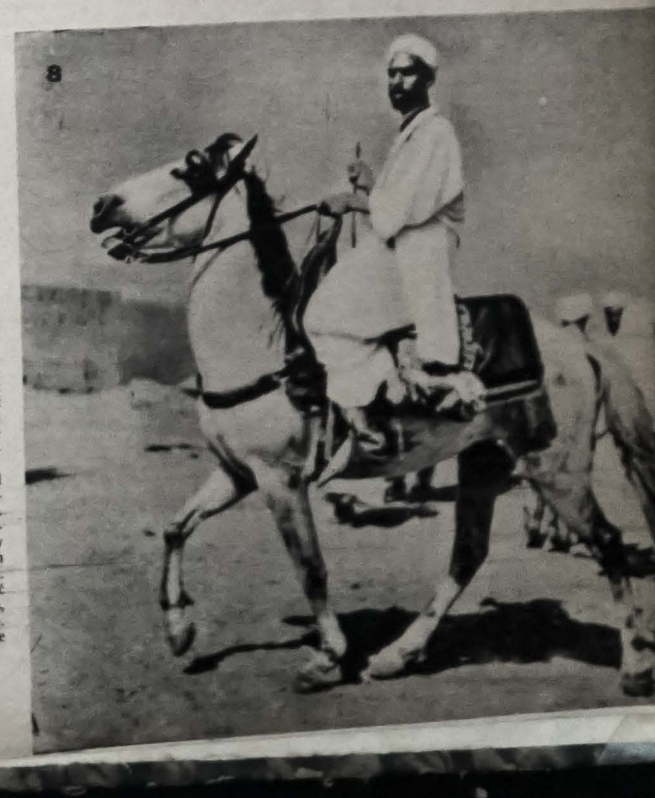
postanictwo. Znowu zbiegają się tłumnie tubylcy, przyciągnięci wielkością jego serca. Sława jego rozchodzi się po całym dzikim Hoggarze. Tauregowie uważają go za świętego, którego im Bóg zesłał w nagrodę za bohaterkie czyny, za jakiegoś nowego proroka. Formuje i urabia dusze ludzi, jak tylko chce. Przywołuje Tauregów do Francji i chrześcijaństwa miłością i dobrocią. Uziachetnia dusze tych ludzi i ulepsza ciała, lecząc ich i czuwając nad nimi.

Tak trwa aż do roku 1916. Wojna światowa wnosi zamęt do jego spokojnego, zacisznego królestwa. Propaganda niemiecka i turecka dociera aż do tych oddalonych ziem i powoduje niepokój, podburzając Tauregów przeciw Francuzom. Ogół tubylców nie daje się wprawdzie omamić tej propagandzie i pozostaje wierny swemu duchowemu przestawie, ale wędrowni, jak wszędzie jednak, tak i wśród nich, znajdują się jednostki bez skrupułów, kupione przez niemieckie złoto. I grudnia 1916 roku bezbronna pustelnia brata de Foucauld zostaje napadnięta przez bandę takich właśnie sprzedawczyków. Brat Karol nie bierze się wcale, wyciąga ku napastnikom swe dłonie i błogosławi ich. Trafiony kulą pada u progu swej izdebki i umiera.

Wśród piasku i skał pustyni, pod jej rozgwieżdżonym niebem, wśród tubylców, których tak umiłował, pogrzebano szczątki doczesne brata de Foucauld.

Na ziemiach ukochanej przezeń Afryki Północnej rodzi się dziś nowa Francja... Roman Fajans

- 1 Typ wojownika berberyjskiego
- 2 Marokański cyrulik
- 3 Syn gór Atlasu
- 4 Brama w Marokko — Marokko
- 5 Fort w Agadir
- 6 Na targu czereczanów w Marokko
- 7 Miasteczko południowo-marokańskie
- 8 Jeździec berberyjski



Notes Warszawskie

TADEUSZ SOWICKI



Ten, który leżał ze mną w Ropczycach podczas nalotów pisze mi przez całą stronę notesu: „Mon pays sera mon amour — toujours”. — Tak.

Jakaś tam wieś węgierska. Cztery „s” i siedem „r” w nazwie. W „Pester Lloydzie” wiadomość: „Warschau in unserer Haende”. W Beregszasz chciałem zadzwonić do Warszawy. Węgrzy patrzą na mnie, — nie rozumieją, nie rozumieją. Niem tudom — mówią. Więcej to już naprawdę koniec? A oni w kółko: niem tudom... niem tudom.

Bregenc Major. 70 km. do Wiednia. Wigilia. Żeby się ogrzać, trzeba spalić jeszcze dwie belki starego baraku. Śnieg pada gęsto. W Foerteszentmiklos biją dwony. Kołoda miesza się ze tżami. I nagle pęka ostatnia nić łącząca z krajem. Przchodzi list od brata. Słowa: „w tym roku sam będę śpiewać koledy



Pustynia Zachodnia. 1941. Trzeba mieć oczy otwarte i serce twarde i czujne na wszystko. Obok nieustannych odlotów na starą ziemię, świadomość: Afryka, wycinek ładu odrutowany kolczastym żelazem, ziemia, na której nie wiadomo, gdzie uderzy pocisk, gdzie spadnie bomba. Słońce — czerwony upiór. Księżyc — biała zmora.



— słuchaj fałszywych głosów — to mój”. Zawsze szelma fałszowała to „Gloria, gloria”. I nagle...

...jak dawniej Marszałkowską zimny wiatr powieje i śnieg przykryje gruz w rozwalonym mieście — dziś Warszawa jest moim ostatnim Betleem...

Granica węgiersko-jugosłowiańska. Mam na plecach schowane pięćdziesiąt paczek „extra płaskich” z Polski. Nie wiem, czy jestem uciekinierem, czy przemyci-kiem.

Zandarm w Lendawie Dolnej wyjaśnia: Poljaki? — za Madzarskom! A drugi wieczorem: noch ist Polen nicht verlor-ten!

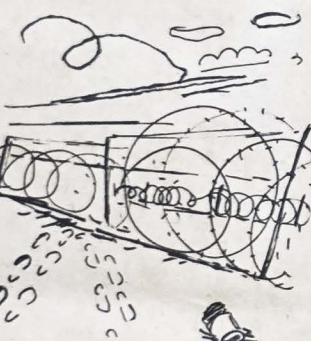
Jesteśmy w nieustannej sprzeczności. W wojnie i pokonani. Szczuci i fetowa-ni. Zabijani i karmieni.



Beograd. Kalemegdan. O wszystkim i o niczym. O polityce i listach. Cyrylica serbska oznajmia: „bomby su baczone na srediste Londona. 50 lica je mrtvih, 30 lica je teszko ranjenih” i jeszcze: „Kral-ica Majka dolazi za Bukuresztu”. Z Kalemegdanu widać Zemun i Avalę. Zza muru ogrodu zoologicznego słychać skowyt. To płacz hieny. Czekamy — czekamy. Na wizy, na pasz-portsy, na bilety, na transporty, na wiosnę, na jesień.

Znów jest list. Mostowicz zginął wio-żąc chleb na furmance. Nie żyje Tetma-jer. Jagna podaje kawę w Cafe Clubie. Megdanu dziewczęta tańczą „kolo”. Po polsku znaczy: koło.

Istanbul. 1940. Morze. Ma wszystkie barwy od błękitu do czerni słońcowej i ko-lor atramentu z mojego pióra. Jest piękne. Morze trzeba kochać. Romek zginął w



Piszą w polowej gazecie: „Śmierć za swobodne życie...”. Tu poległ Sułkowski. Ten notes musi mieć miejsce dla zmar-łych. Do delegacji na pogrzeb w twier-dzy wyznaczyć dwóch szeregowych. Oro-bów w twierdzy Tobruk jest ponad 70... na każdym orzeł polski.

Ten Australijczyk, który chodzi co-dziennie o zmroku po wodę do studni, obok mojego punktu, zamienił orzełka na mojej furazerce na blaszane słońce Australii.

Ain el Gazala. 1941. Okładki się roz-latują. Kartki są wybrudzone. Słowa białą. Obwiesili jakieś krzaczysko ozdoba-mi, papierkami. U dolnych gałęzi wisi importowana palestyńska pomarańcz. Ja-nek dostał list, o którym nie nie powie-dział. Ojciec deportowany do...

Na szczycie chwieje się anioł wycięty z blachy. Łańcuchy są z kabla telefonicz-nego. Czarny, żółty, czerwony.

Słowa w notesie bledną. Słowa przy opłatku jaśnieją. Znów o to samo. Żeby następne święta... Ja wiem, że wszyscy nie chcą widzieć teraz białego słońca, prawdziwej choinki i twarzy — twarzy — to najważniejsze, nie widzieć.

Ogłoszę gigantyczną przerwę w liturgii, ogromną przerwę we wszystkim. Adam intonuje w Gazali: „Bóg się ro-dzi, moc truchleje”. Baliński w Londy-nie pisze:



drzwiami tupnąć mocno, żeby się odlepił. Ostatnia strona notesu. Noszę z sobą uśmiech zagubiony nie wiem — na Węgrzech, czy w Ja-sławiu, czy w Iraku, czy w Palestynie a tu odnaleziony. I jeszcze coś. Zaputki. Małe pudełko. Trzeba będzie przecież zapalać świeczki na choince.

OKŁADKA: Projekty witraży J. Młodnicki

Str. 2 i 19: rys. E. Matuszczak

Str. 3: fot. Malinik

Str. 4 i 5: fot. APW.

Str. 6: fot. Fuks

Str. 14 i 15: Commissariat National à l'information

Układ graficzny: JERZY MŁODNICKI

„A jeśli chcesz Go narodzić w warszawskich zgliszach to lepiej zarzuć po Niemcach rzuć Go na krzyż”.

Jerusalem. 1942. Jerusaleem, Rehawot, Bersheba — motory w wielki transport. Tu i tam Geta z trzaskiem, kłębi się, zderza, z sobą: podpalona Kolonia i Ropczyce, Hamburg i Majdanek. Dzieci śpią w kołyskach — czuwają na wartach. I ręce, ręce Dłaczego. To już po raz czwarty po raz czwarty w noc wigilijną serce inaczey.

Wszędzie. Pachnie naftą. Grudki prawda? Temperatura dochodzi do stopni, a te dalekie, ośmieszona Pamiru można zniecierlić, tym dziej, że jeden z nich podziwiał Giewont.

Przybieżeli do Betleem — w pałacu w battle-dressach. Pali się białym światło.

Tu wydarte są kartki w notesie. ma ich. Powiał je wiatr po Trana-daniach, po pustyniach, po górach. I jeszcze z bardzo daleka — w licy żołnierskiej przy czwartej rozmowa:

...pani przybyła z Rosji? —

brnąć trzeba było do najbliższ...

zgubionej w wiorstach, której

mróz i zawieja, przed słowem:

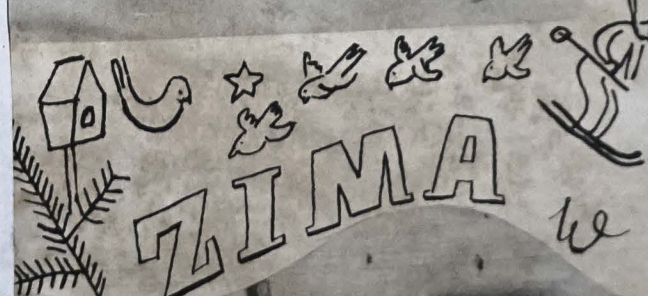
Wiatr wiał w ten złoty ponad

który się teraz pochyla nade mną

z białej Syberii i czerwieni Moskwy

zrywając się, pędząc fanfary

przez przestrzeń



ZIMA w POLSCE

